

Credo sztuki...– rozmowa z Łukaszem Wyleżałkiem – strona 7

Gazeta **CZĘSTOCHOWSKA**

TYGODNIK REGIONALNY

Tytuł ukazuje się od 1909 roku

ISSN 0208-6859

www.gazetacz.com.pl

12 – 18 kwietnia 2007 r.

Nr 15 (798)

1,50 zł (w tym VAT 0 proc.)

CREDO SZTUKI...

Rozmawiamy ze znanym i cenionym częstochowskim reżyserem teatralnym i filmowym **ŁUKASZEM WYLĘŻALKIEM**, reżyserem spektaklu „Alibi” pokazanego w częstochowskim teatrze

Wielki powrót na scenę częstochowskiego teatru po jedenastu latach. Jak go Pan ocenia?

– To nie do mnie należy ocena, lecz do widzów oglądających spektakl. Trwało to rzeczywiście aż jedenaście lat, ale to dlatego, że wcześniej nasz teatr nie był zainteresowany współpracą z częstochowskimi reżyserami. Przez ten cały czas przyglądałem się z boku działaniom kolejnych dyrektorów i próbom nadania profilu teatrowi, co się, niestety, nie udało. Może próba ta powiedzie się Robertowi Dorosławskiemu i Piotrowi Machalicy. Z tą nadzieją zgodziłem się zrobić zupełnie nową, inną sztukę. Nasze miasto jest, niestety, bardzo łatwe do „zachal-turzenia” przez właściwie każdego warszawskiego twórcę. Podziwiamy często to, co w Warszawie jest second-class. Co więcej, w Częstochowie przewodnim gatunkiem jest przegadana już farsa, mamy pewien kompleks, którego nie potrafimy się pozbyć. Teraz mamy szansę, by zmienić wizerunek. Dyrektorem teatru jest rodzimy częstochowianin, który zna realia tego miasta i może właśnie jemu uda się osiągnąć publiczność.

„Alibi” to bez wątpienia sztuka o ludziach i dla ludzi; zresztą, jak wszystkie Pana spektakle. Jak brzmi motto tychże sztuk?

– Nigdy nie kierowałem się modą, odizolowałem się od warszawskiego środowiska. Moje sztuki są o poszukiwaniu dla siebie miejsca we współczesnym świecie. I o tym jest też „Alibi”. Jak dać alibi komuś, kto w pewnym sensie jest łotrem, ale w pseudosłusznej sprawie. Postać Policjanta relatywizuje pojęcia mniejszego i większego zła, a przecież zło jest tylko jedno i nie da się go usprawiedliwić. Mimo to w spektaklu próbowałem przez cały czas robić. Motto moich sztuk od samego początku („Balanga”) jest takie samo. Już wtedy można było dostrzec, że budujemy zniewolony świat. Po latach okazuje się, że te słowa były pro-roczne. Szukając motta pamiętałem też o słowach Herberta: „Płynąc pod prąd, płyniemy do źródeł”. „Alibi” to tytuł symboliczny, ukazujący to, na co zamykamy oczy, czego nie chcemy widzieć. Jednak nawet, gdy mamy zamknięte oczy, nie znaczy to, że wszystko, na co patrzyliśmy, znika. Wszystkie moje przedsięwzięcia były właśnie o tym. O pewnej ignorancji, znieczulicy, agresji tłumy, który nie reaguje, by zapobiegać, ale karze po fakcie.



W 1996 roku na scenie Teatru im. A. Mickiewicza wystawił Pan „Lot nad kukułczym gniazdem”, który bez wątpienia urzekł publiczność. Czy nie myślał Pan, by to powtórzyć, by sztuka wróciła na deskę częstochowskiego teatru?

– Wydaje mi się, że nie można się wciąż oglądać za siebie. Teraz mamy zupełnie inny czas. Minęło jedenaście lat, rzeczywistość się zmieniła, ale są inne problemy, które można pokazać. Może jakaś sztuka offowa, dla kilku aktorów, ze skromnymi dekoracjami, może trochę w klimacie studenckim. Chodzi o to, by dać szansę aktorom na zagranie czegoś, co nie jest odtwórcze. Chciałbym, by w Częstochowie udało się powtórzyć podobną do „Alibi” realizację. Chodzi mi o coś, co jest prapremierą w skali świata, kiedy aktorzy nikogo nie naśladują, z nikogo nie czerpią, oddają prawdziwych siebie. To sprawia największą satysfakcję.

Na początku swojej kariery zajmował się Pan filmami krótkometrażowymi. Jak ewoluowały one w filmy pełnometrażowe, fabularne?

– Były to etiudy szkolne i nigdy nie trafiłyby na przeglądy filmów krótkometrażowych, gdyby nie to, że w komisji zasiadał Wolfgang Ruff, dyrektor festiwalu w Oberhausen. To jego zainteresowały moje filmy, bo były zupełnie inne niż popularne w tamtym czasie. Prym wiodło kino typu „Kiler”, a ja nie chciałem robić takiego kina. Może dlatego wtedy mi się udało. Później były już pełne metraże, ale znów nie przez kinematografię, która promowała coś zupełnie innego, ale przez Ośrodek Poznański.

W pełnym metrażu zadebiutował Pan w „Balandzie” w 1993 roku i od razu przyszła nagroda. Czy pojawiła się wtedy myśl: „Nagradzają, więc warto to robić dalej”?

– Nagroda była pełnym przypadkiem. Był to Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w 1993 roku, który próbowano od razu umiędzynarodowić. W związku z tym zaproszono do komisji Agnieszkę Holland, która była wtedy na zachodzie, a przy tej okazji ściągnięto też angielskiego reżysera Andersona („Lucky Man”). W tym czasie masowo kopiowano filmy amerykańskie. Jedynym filmem, który tego nie robił, był mój. Opowiadał o brudnej Polsce, o irytacji i zagubieniu ludzi, których wyrzucono z pracy. Chciałem, by był to dzwonek alarmowy dla ludzi, że może nie tędy droga. Anderson obejrzał film i postanowił go nagrodzić, co wzbudziło ostry sprzeciw kry-

tyków. Nie podobało im się to, jak pokazałem Polskę, że zamiast naświetlić, jak może być pięknie, inni zobaczyli bezrobocie, biedę itd. Wtedy też przez pięć lat miałem zakaz kręcenia jakichkolwiek filmów. Dopiero po tym czasie mogłem nakręcić kolejny Teatr Telewizji.

„Prezent” i „Zorka”, dwa różne obrazy. W jednym kreśli Pan świat kobiet, w drugim mężczyzn. Czy rzeczywiście mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus?

– W pewnym momencie stało się tak, że kobiety były bardziej odporne na zachodzące zmiany, zakwestionowana została rola mężczyzny jako myśliciela. System po roku 1989 stwarzał mężczyznę, który był nikim. „Prezent” jest właśnie o tej tendencji, kiedy kobiety przejęły wszystkie funkcje kierownicze, sprawiając, że mężczyźni po prostu zniknęli, stali się dla nich zbędnym balastem. Kobiety przejmują niektóre cechy przypisywane mężczyznom. Kobięcie dano coś zupełnie nowego, ale kosztem odebrania miłości. Siedem bohaterów, które występuje w „Prezencie” ma swoje odpowiedniki w rzeczywistości. Jeśli chodzi o „Zorkę”, jest to sztuka o dwóch mężczyznach, którzy kiedyś mieli ideały, ale stracili je w czasie dwudziestu pięciu lat. Była to sztuka, w której mężczyznom zabrakło kobiet, co sprawiło, że stali się rozbitkami. Te sztuki nie są o kobietach z Wenus i mężczyznach z Marsa, ale o tym, że pierwotne funkcje tych dwóch płci zostały usłupione i muszą je oni na nowo w sobie obudzić.

Bardzo często życie swoich bohaterów umiejscawia Pan na peryferiach miasta, sam mieszka Pan poza nim. Co Pana w mieście odstrasza?

– Miasto jest fasadowe, dba o główną ulicę, a nie dba o te, które są obok. Fasady są piękne, a podwórka prawdziwe. Taki system panuje w mieście, dlatego nie chcę w nim mieszkać. W mieście nobilituje się w pewnym sensie hipokryzję, nie możemy robić nic, co ogólnie przyjęte jest jako złe przed nastaniem zmroku, później „hulaj dusza”, jak w „Alibi”. W mieście nie dostrzega się pewnych rzeczy, które widać na prowincji: fałszywego blichtru, groteskowych zachowań, wzorów dla społeczeństwa, zatrącania przez nie tożsamości, o czym mówią bohaterowie spektaklu.

Często przywołuje Pan „Alibi”, wypowiadając się o tym, co nas otacza. Czyli „Alibi” to Pana pesymistyczna wizja rzeczywistości?

– Bez sceptycznego spojrzenia nie mógłbym się zastanawiać, dalbym „nabijać się w butelkę”, byłbym jak Dima. Wolę wątpić, miło się rozczarować, niż przeżywać porażki. Musimy mieć pewien dystans do świata, do rzeczywistości. Nie odrzucam i nie akceptuję „a priori”.

Często współpracuje Pan z częstochowskimi twórcami, zwłaszcza, jeśli chodzi o muzykę. Z tego, co Pan mówi, nie wynika, że ma Pan jakiś sentyment do Częstochowy, więc czemu ta współpraca?

– To nie chodzi o to, że nie mam sentymentu do Częstochowy, trochę mam, ale w innym, niż ogólnie przyjęty, sensie. Wiąże się to z tym, że nie czuję kompleksu, jeśli muzyki do moich filmów nie napiszą warszawscy twórcy. Nie lubię podpieierać się nazwiskami. Zawsze miałem ochotę pracować z debiutantami, czego w stolicy się nie praktykuje. Było tak przy „Darmozjadzie Polski” i wielu innych przedsięwzięciach, również w „Alibi”. W tym spektaklu zadebiutował młody częstochowski artysta Mariusz Pala, który robi właśnie dyplom u Krystyny Zachwatowicz-Wajdy. Powinniśmy to wszystko promować.

Nagroda za „Balangę”, „Lot nad kukułczym gniazdem”, „Darmozjad Polski”, długo by wymieniać. Która z nich stoi najwyżej na półce?

– Żadna, ponieważ nie trzymam ich na półce. Ma je moja młodsza córka. Wynika to z tego, że większą wagę przywiązuję do listów, słów, życzeń. To jest ważniejsze niż statuetki, medale, Oscary.

Miasto X, bohater X, gdzie by Pan go wysłał, w jaką podróż?

– Właśnie wysyłam bohatera X w podróż do przeszłości. Pracuję właśnie nad dwoma scenariuszami. Jeden z nich opowiada o mężczyźnie, który chce kupić choinkę na święta, ale spotyka kolegę, który zaprasza go do baru. Po kilku kieliszkach postanawia zostawić samochód i wrócić do domu autobusem, ale podróż ta okazuje się wyjątkowo trudna. Bohater obserwuje ludzi podróżujących z nim, ale nie jest w stanie dojechać do domu. Rezygnuje z jazdy w połowie drogi i siada na ławce, gdzie zaczyna się zastanawiać, w jakim świecie żyje, i wraca do historii swojej rodziny i wyborów, jakich ona dokonywała. Pozwała mu to wiele zrozumieć i stworzyć oczy na pewne rzeczy. Można byloby z tego zrobić monodram dla niewielkiej publiczności, który zmuszałby do refleksji.

Rozmawiała SYLWIA GÓRA